



w n u m e r z e ;

POŁÓW PEREŁ

■
Z. NORBLIN-CHYZANOWSKA
KSIĄŻKA O M. FRENKLU

■
T A D E U S Z F R E I N K I E L
„P A N F E I P A N L E”

■
C Z . J A S T R Z Ę B I E C - K O Z Ł O W S K I
K O M U T Y J E D Z I E S Z ?
(g r o t e s k a)

■
J U B I L E U S Z J . Ś L I W I C K I E G O

■
A . I . K U P R I N
W M R O K U
(p o w i e ś ć)

■
W Ł A D Y S Ł A W K R O G U L S K I
D Z I E J E T E A T R U W P O L S C E

■
Ś W I A T K S I A Ź K I

■
T E A T R , F I L M

W tym numerze kupony
ulgowe do Teatrów:

Małickiej i »8.15«

I N A B E N I T A
Sympatyczna artystka Teatru
„Wielka Rewja” występuje
w nowym barwnym programie
„R A J K O B I E T”

Łołe
 REUMATYCZNE
 ARTRETYCZNE
 NEWRALGICZNE
USUWA
 SZYBKO PRZECZ ZWYKŁE
 WCIERANIE
BALSAM BENGAŁSKI
 KARPINSKIEGO

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
 ROK XXXIII Nr. 50
 10. XII. 1938

POŁÓW

W świątyni sztuki

Przeglądając prasę włoską z ostatnich dni natknęliśmy się na dwie charakterystyczne fotografie. Na jednej z nich Mussolini zwiedza otwartą teraz w Rzymie wystawę sztuki. Stoi skupiony przed jakąś rzeźbą, a na głowie ma czapkę: tę brzydką czapkę wojskową fasonu hitlerowskiego, której model przyjął niedawno, po zawarciu przyjaźni z Führerem. Znikły z pięknych głów o rzymskich profilach charakterystyczne, malownicze i zawadjackie czarne furażerki pierwszych faszystów: zastąpiła je paskudna, sztywna czapa, o okrągłym szerokim denku, w której każdy włos wygląda jak pruski feldfebel.

Więc Duce stoi przed rzeźbą — a czapkę ma na głowie.

Za nim — karne szeregi „władz“ wszelkich — a każdy z czapą na głowie.

*

A nazajutrz w tem samym piśmie inna fotografia.

Na tej samej wystawie — i przed tą samą rzeźbą — stanął król Włoch i cesarz Imperjum, Wiktor Emanuel III z domu Savoia. Ten Savoia, któremu głos ludu już za życia za jego postawę w czasie wojny dał przydomek zaszczytny: *il Re Soldato*.

Otóż Savoia, *Re Soldato*, — w świątyni sztuki wojskową czapkę z głowy zdejmując. Trzyma ją w ręku, jak w kościele. A karne szeregi „władz“ wszelkich, które za nim stoją — oczywiście też czapki pozdejnowały i trzymają w garści.

*

Savoia — niezły sobie ród. Już około tysiąca lat znany, i tu i owdzie panujący. Przywykły do zaszczytów. Ale w świątyni sztuki



nie czuje się królem. Czuje się — w świątyni.

Kto ma rację? Cóż, *des gouts et des couleurs...*

Więc się umówmy, że jest tak, jak czytamy na każdym kawałku muru we Włoszech. „Pisze“ tam wielkimi literami: MUSSOLINI HA SEMPRE RAGIONE...

Brak szacunku

W sprawie działalności i pracy przyszłego sejmu wypowiedział się tygodnik „Zaczyn“, według pogłoszek, zbliżony do skrajnych ideologów obozu. „Zaczyn“ krytykuje tendencję wyznaczenia przyszłemu Sejmowi zadania zmiany ordynacji, jako jego kapitalnego posłannictwa. Czytamy tam: „Ciała ustawodawcze mają zakreszone im przez konstytucję funkcje i nierozsądną jest rzecz wyznaczanie każdej kadencji jakiejś specjalnej funkcji. Określenie takie odwracałoby uwagę od ciągłości funkcji parlamentu i wpływałoby ujemnie na poziom i tok pracy nad spełnieniem należytych tych funkcji.

PEREŁ

To też ze wszechmiar jest szkodliwa zacieśniająca interpretacja prac nowego Parlamentu, ograniczająca jego rolę do zmiany ordynacji wyborczej. Szkodliwym jest również lansowanie pogłosek, że nowy parlament nie dotrwa do końca kadencji“.

Dziwne stanowisko. Pamiętamy wszyscy mowy pp. premiera i wice-premier, pamiętamy orędzie rozwiązujące poprzedni sejm, pamiętamy, że Pan Prezydent Rzeczypospolitej wyznaczył przyszłemu sejmowi właśnie to zadanie: zajęcie stanowiska w sprawie ordynacji wyborczej.

To pamiętają wyborcy. To pamięta całe społeczeństwo. Jak to pisano aleksandrynem wyborczym: „zapamiętaj cztery słowa, sejm, to ordynacja nowa“.

Zapowiedzi wyznaczające zadanie Sejmu „Zaczyn“ raczy nazywać nierozsądnymi. Brak pamięci, czy brak szacunku?

Analogje

Statek się rozbił na morzu. Na małej tratwie płynię dwóch uratowanych: siłacz i słabeusz. Niedaleko figluje rekin, kłapiąc paszczą w stronę tratwy. Wobec tego siłacz powiada do słabeusza:

— Pociągniemy losy. Masz tu dwie słomki...

— Kiedy ja sobie przysięgałem nie grać w gry hazardowe — szepcze przerażony słabeusz. I słyszy grzmącą odpowiedź:

— Wszystko jedno! To i tak tylko zwykła formalność!

*

Pytasz czytelniku o tytuł? Skąd analogje, jakie analogje? Z czem analogje? Rozejrzyj się, kochanie, dokoła. Polityka światowa (i każda inna) pełna jest takich analogji.

Cyganek z cygankiem za pan brat

W magistracie katowickim p. Alfred Cyganek pełnił funkcje naczelnika personalnego biur magistrackich. Nie cały cygan tylko cyganek. Ale mimo to ocyganiona czujność miejscowych władz, powierając tak odpowiedzialne stanowisko „naczelnika personalnego“ nie doszła do prawdy, że p. Alfred był członkiem... „Volksbundu“. Pan Alfred Cyganek był więc i volksbundowcem i wysokim polskim urzędnikiem. Pisać o tym, w okresie, gdy podpisany dekret prasowy wchodzi w życie jest więcej niż niemiło. Przewidywać zło, usuwać je sygnalizowaniem, to ryzykowne. Dopiero, gdy się wszystko wykryje, owszem wtedy można, no ale to czasem bywa za późno.

Cóż dziwnego, że kiedy Alfred Cyganek był szefem personalnym, to drugi brat Cyganek był inspektorem biur magistratu. Pan Alfons Cyganek — tak jak cała rodzina, jak to wyszło na jaw na sprawie sądowej, też należał do „Volksbundu“. Dlaczego nie. My jesteśmy tolenrancyjni. Ale w stosunku do Alfonsa trzeba było postąpić radykalniej. Okazało się bowiem, że brat Alfons poprostu okradał magistrat.

Okradał przez 6 lat!

Wiwat cyganki!

Pan Alfons zdefraudował 38 tysięcy złotych w taborach miejskich, 1000 przy znaczkach robotniczych, 4000 z kasy ogrodów miejskich, 4000 z toru ślizgawkowego, 7000 ze Związku Straży Pożarnej. Poprostu, gdzie przeszedł Cyganek kasa traciła równowagę. — W tylu instytucjach miejskich, przez tyle lat, zdolny człowiek! Nie można tego powiedzieć o władzach nadzorczych.

W listopadzie — 15-go odbył się proces. Obrońca postawił wniosek o zbadanie oskarżonego przez psychiatrów. Sprawę odroczone. Do takiego zdolnego i systematycznego pracownika — psychiatrów?

Ale, ale zapomnieliśmy o pierwszym p. Cyganku, tym oficjalnie do „Volksbundu“ należącym. Jak donosi „Goniec“ usunięto go z działu personalnego. Brawo. Brawo, wykrykniecie wraz z nami! Tylko według tegoż pisma „p. Cyganek został przeniesiony do hal targowych, gdzie otrzymał stanowisko kierownika hal targowych m. Katowic!“ A możeby i tu wezwąć psychiatrów? Tylko do kogo?

Niepewny skarbiec

Różne bywają kryjówki dla skarbów. Są sezamy niedostępne, bywają smoki, co skarbów strzegą zazdrośnie. Bywają i mniej wspańnięte choć za to mniej... pewne kryjówki. Są tacy, co przechowują pieniądze w belce na strychu narażając się, że pożar strawi banknoty wraz ze strzechą. Chowają w materacach, pierzynach, w rezultacie bywa tak, jak niedawno podała prasa codzienna, że słomę z pewnego siennika wraz z 1.400 zł. w banknotach pożarł wieprz, do którego kojca tę słomę wyprzątnięto. Dziś dowiadujemy się o nowym rodzaju kryjówek na oszczędności, a mianowicie... w beczce z kapustą ukrył swe 2.600 zł. p. Andrzej Mrówka. Ciulała pracowita mrówka, a jakiś lekko-myślny konik polny wypatrzył owinięte w gałgan, a nie złożone do P.K.O. setki złotych, zagarnął i za nie sobie ciężką dolę ożłocił. Kapusty naturalnie nie tknął. Teraz p. Mrówka skarży pp. Berzowskiego i Bobera, bo jeden z nich kryjówkę wypatrzył. Pójdą pod klucz, ale to mała pociecha — bo paru tysięcy złotych jak niema tak i nie będzie — a tak łatwo było oddać na książeczkę P. K. O.

Tekakate filmowe

że w filmie polskim źle się dzieje, wróble ćwierkają na dachach, a w kinach przytakuje im chrapanie „zapatrzonych“. że wśród zacnych i pocziwych filmiarzy są i krętacze nietylko od nakręcania taśmy, o tym wie „branża“ i nie branża.

Brak pieniędzy, brak szerokiego rynku, „magnesowość“ tego

zawodu dla różnych... spryciarzy, oto liczne przyczyny, dla których film polski, jak się to mówi, „pozostał w tyle“.

Ale czy aby temu radzić trzeba znów „fundować“ urząd?

Trudno. Projekty z pieczętą mają większą powagę, niż zdanie, czy akcja, nieopieczętowane. Istnieją urzędy filmowe we Włoszech i w Niemczech i... obniżenie walo-rów produkcji filmowej w obu tych krajach. Więc i u nas buch, w te ślady. Polski urząd filmowy nazywa się „Tow. popierania filmu polskiego“. W ogłoszonym spisie osób, stanowiących władze towarzystwa, na pierwszy plan wysuwają się nazwiska znanych, poważnych, wyższych urzędników państwowych do wiceministrów włącznie. To bardzo pięknie ze strony organizatorów i władz wykonawczych, że pomyśleli o tak autorytatywnych nazwiskach.

Ale to nas właśnie przestrasza!

Jest więcej niż pewne, że wice-ministrowie i dyrektorowie departamentów z filmową produkcją nie związani, nie będą mieli czasu na prowadzenie a nawet kontrolowanie nowej instytucji. Ich nazwiska bronić będą przed zbytnią krytyką, ale przecież ci cenieni na swoich stanowiskach wysocy urzędnicy na filmach się nie znają i nie ta działalność jest ich ambicją twórczą. Więc poco są wciągnięci? Po co ten dziwny urząd? Paru nienajszczęśliwszych reżyserów, przedsiębiorców i właścicieli wytwórni, gdzie przeważnie inni swe filmy kręcą, dwóch czy trzech literatów dotąd w filmie wypowiadających się minimalnie, senator - polityk i oto gotów zbawczy dla filmu polskiego... urząd.

Każdy z tych ludzi jest na swoim dotąd zajmowanym miejscu jaknajpożyteczniejszy, ale to komuś nie wystarcza. Pakuje się ich jak Piłatów w credo filmowe. Dobremu wiceministrowi, ruchliwemu, pracowitemu, inteligentnemu dyrektorowi departamentu każe się być... złym filmowcem. Po co!

Nie przesadzamy a priori, tylko nie wierzymy, żeby dobrze i z zapalem pracujący dotąd w innych resortach wyżsi urzędnicy mieli czas i znajomości fachowe niezbędne dla produkcji, czy chociażby dla popierania filmu w Polsce.



Obywatel Zero

KSIĄŻKA O MIECZYSŁAWIE FRENKLU^{*)}

Ukazał się w ostatnich czasach szereg życiorysów sławnych ludzi, pisanych przez najbliższych. Zofia Szymanowska dała w swoich wspomnieniach żywą sylwetkę brata, znakomitego kompozytora. Ewa Curie w przejmującej i pięknej książce przedstawiła ofiarny żywot swej genialnej matki, Marii Skłodowskiej-Curie. Ostatnio Tadeusz Frenkiel napisał biografię swego ojca, wspaniałego artysty scen polskich, Mieczysława Frenkla.

Ten rodzaj życiorysu nosi już w zarodku możliwości cennych osiągnięć, ale i wielkich niebezpieczeństw. Kiedy biografem wielkiego człowieka jest człowiek mu bliski — można oczekiwać najbardziej autentycznych faktów, najdokładniejszej znajomości psychiki opisywanego, najwnikliwszego zrozumienia, najtrafniejszego oświetlenia jego środowiska. Niebezpieczeństwem takiej biografii mogłoby jednak być nieopanowanie uczuciowe, i mogąca stąd pły-

nać chęć ustawienia wielkiego człowieka natychmiast na piedestale.

Że tak bywa — smutny tego dowód pozostanie na zawsze w postaci wszystkich zniekształceń, wszystkich osobistych „cenzur” jakim poddawał pamiętki i wspomnienia po Adamie Mickiewiczu syn jego, Władysław.

Człowiek wieku XX-go — czy to że urodził się bardziej rzeczowy, czy że inaczej rozumie wielkość — rzetelniej przystępuje do takiego dzieła. Może dzięki temu życiorys Mieczysława Frenkla napisany przez syna jego, Tadeusza, nie ma w sobie czułościowości, choć przepełniony jest uczuciem, i nie robi z wielkiego aktora posagu, dążąc wyłącznie do przedstawienia człowieka żywego.

Cel autora osiągnięty jest w zupełności. Staje przed czytelnikiem naprawdę jak żywy ten nieporównany artysta, któregośmy wszyscy podziwiali i kochali. I teraz dopiero dowiadujemy się o nim wszystkiego, zaczynając od lat młodości, gdy „kręcił piguły” u aptekarza, ale już marzył o teatrze, aż do czasów ostatnich, gdy złożony ciężką niemocą usu-

wał się w cień, a wielbiciele jego talentu nie wiedzieli nawet dlaczego.

Skąd się bierze, z czego się składa zjawisko artystyczne tej miary, co Mieczysław Frenkiel? — To pytanie zadawał sobie każdy z nas po każdej nowej jego roli. Życiorys pisany przez syna, który też jest aktorem, a więc rozumiał ojca lepiej niż ktokolwiek — ten życiorys wyjaśnia nam wiele.

Naturalnie u źródeł powołania scenicznego Mieczysława Frenkla leżał fenomenalny, zupełnie niezwykły talent. Ale to nie wszystko. Były tam jeszcze zasoby wysokiej inteligencji, znakomite zrozumienie własnych możliwości, ogromna pracowitość, wielka rzetelność artystyczna — i, co nie jest walorem najmniejszym — głębokie i piękne człowieczeństwo.

Mieczysław Frenkiel grał i umiał zagrać wszystko: wydaje się tylko że nie mógłby grać szubrawców: tego gatunku człowieka prosto nie mógłby z siebie wydobyć, tej struny w sobie nie miał. A sztuczne, rozumowe konstruowanie roli napewno nie leżało w jego usposobieniu. Wszyscy go pamiętamy na scenie, porywają-

*) Tadeusz Frenkiel — „MIECZYSŁAW FRENKIEL” — (Nakładem Księgarni F. Hoesicka, Warszawa 1938).



POMNIK MIECZYSŁAWA FRENKLA NA POWĄŻKACH

W końcu października odbyło się na Powązkach poświęcenie pomnika ś. p. Mieczysława Frenkla.

Projekt pomnika wykonano według szkicu Stefana Kazimierczaka, rzeźba portretowa ś. p. M. Frenkla jest dziełem prof. St. K. Ostrowskiego.

Wykonano pomnik z granitu, ofiarowanego przez Zarząd Stolicy. Drogą ofiar, składek i subsydjów uzyskano poważną kwotę 5.183 zł., która pokryła koszty robót.

W skład Komitetu Wykonawczego budowy pomnika weszli: Prezes — Szambelan Franciszek Karpiński, Wice-prezes — red. Konrad Olchowicz, Sekretarz — dyr. Józef Wójcicki, Skarbnik — mec. Stanisław Jezierski. Członkowie Wydziału Wykonawczego: dyr. A. Kornel, red. Tadeusz Kończyc, dr. Edward Orłowski, p. Paweł Owerło.

Komisja Rewizyjna: red. Jerzy Boczkowski, prezes Józef Śliwicki, Józef Węgrzyn, Julian Krzewiński.

cego ciepłem, budującego postać sceniczną od wewnątrz, z jednej bryły. Roli nie czytelował, (jak inny wielki aktor, Kamiński) — ale przez pogłębianie własnego człowieczeństwa z wielokrotnością swoje zrozumienie człowieka i swoje możliwości odtworzenia go.

Jak te role opracowywał — o tem pisze Tadeusz Frenkiel, i ukazuje czytelnikowi rzeczy niespodziewane. Mieczysław Frenkiel nigdy nie studjował roli przed lustrem, nigdy nie opracowywał póz ani gestów. Siadał przy biurku, nogi otulał pledem i — czytał rolę. A potem, jak pisze syn jego — kuł. Kuł ją na pamięć. A potem — szedł do teatru. I tam znajdował od razu wszystko, co z martwej litery na papierze przeistacza się w sposób czarodziejski w żywe słowo, żywy gest, w ciepłego czy śmiejącego się człowieka. Dlatego może zachwycony widz nigdy u Frenkla nie wyczuwał tego przerysowania roli, tego utopienia całości w szczegółach i grach, które nieraz psują kreacje nawet wybitnych aktorów. Zdawało się, że wszystko płynie z nie-

go samego, że nie mówi słów cudzych, ale własne, że na scenie nie gra ale żyje. Że nie wie, co to trema...

Aha, właśnie! Tu - nowa rewelacja. Ten artysta, co jednym słowem, jednym mrugnięciem powieki ujarzmił tysiące widzów — ten artysta z bożej łaski, ukochanie i bożyszcze publiczności — przechodził najstraszliwszą trema, jaką sobie można wyobrazić. Każda premiera połączona była z męką tortur fizycznych: gwałtowne torsje wątrobiane dręczyły go przed wyjściem na scenę, dręczyły po wyjściu za kulisy. Zabójczymi ilościami czarnej kawy tłumił te dolegliwości — i znów widzieliśmy go na scenie, swobodnego, naturalnego, pełnego życia. I znów, tak jak nam kazał, śmieliśmy się do łez, albo płakaliśmy ze wzruszenia — i wcale nie wiedzieliśmy, jakie męki przechodzi właśnie człowiek, któremu te wzruszenia zawodziliśmy...

Taka była magia jego sztuki. A trwała, ku radości wielu pokoleń widzów, przez lat kilkadziesiąt.

Aż wreszcie — tragiczny koniec, męka ostatnich dwóch lat życia, kiedy po ciężkim ataku ten magnat mowy polskiej — stracił nad nią władzę. Kiedy ten, co żył pięknym słowem — nie rozumiał już co czyta. Kiedy zapomniał pisać... Te straszne, niezasłużone lata końcowej męki — to powolne gaśnięcie wielkiego płomienia, gaśnięcie w ciszy i na uboczu. Wstrząsającym opisem tych lat kończy Tadeusz Frenkiel swoją książkę, pełną w innych rozdziałach uśmiechu i wzruszenia, fantazji i zapału, dobroci i umiłowania sztuki — wszystkiego z czego składała się indywidualność artystyczna Mieczysława Frenkla.

Piękna postać artysty — i piękne, czyste życie człowieka. Wszystko to odnajdujemy w książce Tadeusza Frenkla. Syn postawił ojcu pomnik, na jaki go było stać — jak skromnie powiada w przedmowie. Ten pomnik jest piękny i wzruszający: kamieniem węgielnym tego pomnika jest kochające serce syna.

TADEUSZ FRENKIEL

PAN FE I PAN LE

(fragment z książki „Mieczysław Frenkiel“)

Czytelnicy wybaczą mi łaskawie, jeśli na rozmiar jednego fragmentu, rozstanę się z chronologiczną linią mej gawędy. Muszę bowiem mówić o pewnej przyjaźni, która na przestrzeni czterdziestu lat, tyle miejsca zapelnia w życiu mego ojca, że musiałbym, przerywając tok mych opowiadań i wspomnień, wciąż odrywać się od zasadniczej sprawy, jaką była sztuka sceniczna dla ojca, a wciąż odchodzić na bok i mówić urywkami o człowieku, który w sercu mego ojca znaczył tak wiele...

Mieczysław Frenkiel i Stanisław Lenc! Genjalny aktor i genialny portrecista. Od zarania ich przyjaźni, od głodówki studenckiej i mizeractwa, aż po skon drugiego¹⁾, idą wciąż razem przez życie, jak dwie najweselsze i rzewne swą braterską młodością odmiany Oresty i Pyladesa. Dla obu nie istnieje nic, prócz sztuki. Jeden peroru-

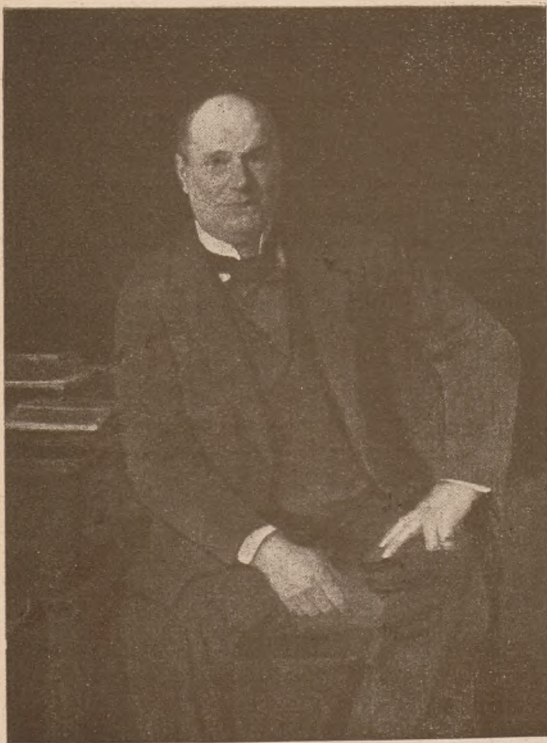
je godzinami o teatrze, jego wzlotach i upadkach, drugi, pasjonat wszystkiego, co stworzyła pędzlem Holandia, tłumaczy wiernemu słuchaczowi — bratu, tajemnice geniuszu Halsy, Van Dycka, Rubensa, Vouvermana... Kiedy się zmęczą, a mają kilka groszy przy duszy, idą do knajpy szukać innych słuchaczy. Kiedy kaleta pusta, układają dowcipy, i robią ludziom różne kawały. Nikt i nic nigdy ich nie rozdzieliło: ani troski, ani bieda, ani sława, ani własne pozakładane później ogniska rodzinne. Pod płaszczykiem żartu lub udanego lekceważenia kryją wzajem przed sobą najtkliwsze zainteresowania każdym drobiazgiem, każdym dniem, każdym szkicem ojciec, każdą rolą — Lenc... Ojciec pisze do Lenca rabelais'owskim rymem, Lenc odpowiada karykaturą, którą szczelnie w biurku zamknąć należy! A gdy mój ojciec pierwszy wziął rozbrat z kawalerstwem, pierwszym družbą, który w kościele św. Krzyża matkę moją prowadził do ołtarza, był Konstanty Lenc²⁾, brat Stanisława. „Stach“



Mieczysław Frenkiel i St. Lenc
(malował St. Lenc)

¹⁾ Stanisław Lenc ur. 1860 r. Zmarł nagle w r. 1921.

²⁾ Ostatni żyjący z braci Lenców: b. szef Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej.



Portret Mieczysława Frenkla, nagrodzony Wielkim Złotym Medalem na Wystawie w Paryżu 1900 r.
(malował St. Lenc)

nie miał czasu: stał z boku i rysował bajeczną karykaturę orszaku ślubnego!...

Kto w okresie przedwojennym mieszkał w Alejach Jerozolimskich, w okolicach Marszałkowskiej, mógł nieodmiennie co niedziela punktualnie, około jedenastej w południe zauważyć następujący obrazek:

Z Kruczej skręca w Aleje ojciec. Wysoki, szczupły jeszcze, sprężysty, zawsze bardzo starannie choć skromnie ubrany. W prawej ręce zawsze laska z dużą srebrną rączką: podarek od kolonji polskiej w Petersburgu.

W tym samym momencie, po drugiej stronie ulicy od Brackiej nadchodził w grubym angielskim palcie i miękkim tyrolskim kapelusiku Lenc. Widząc się po obu stronach ulicy, stawali jak wryci i zamieniali najuprzejmiejsze ukłony, jakgdyby znali się dopiero od kilku dni... Wtedy Lenc przykładł dłonie do ust i wył nie patrząc na zdumionych przechodniów:

— Ekute wu! Le pti³⁾ e ala meza?

Ojciec z kamienym spokojem odpowiadał:

— E!!!...

³⁾ Alfred Konar u którego odbywały się „kawki” niedzielne.

Lenc kładł kapelusz na głowę i z miłym uśmiechem kończył:

— Beze mua u wu wule ma gro!!!...

Z boku nadciągał jeszcze sapiący jak foka, piękny zawsze i zadzierzysty Adam Breza, a ostatni zdążał, stale rozmawiający głośno z sobą i wywijający parasolem, wierny kompan niedzielnych zebrzeń, Stanisław Kozłowski⁴⁾.

Ojciec mój za lat młodzieńczych, miał szczupły pociągły nos, duże siwe oczy i wspaniałą cerę. Po przejściu ciężkiej ospy, w okresie pierwszych krakowskich czasów, twarz jego zmieniła się bardzo, nos zgrubiał niepomniernie, oprawa oczu się zwęziła, twarz pokryła się dołkami, włosy wypadały coraz bardziej.

Kiedy tylko Lenc poznał ojca, po powrocie z akademji monachijskiej, pełen już entuzjazmu dla wszystkiego co holenderskie, od razu i bez ceremonji pasował ojca na swój najlepszy model.

— Ten pysk, to moja własność. Holenderska bryła!!! — wołał.

I ten entuzjazm malarza do modela trwał zgorą lat 40. Powstały

⁴⁾ Jeden z najzaczniejszych ludzi jakich znałem w otoczeniu ojca, popularny komedjopisarz, znękany życiem i nieprzyjazną mu krytyką, zmarł śmiercią samobójczą przed kilkunastu laty.

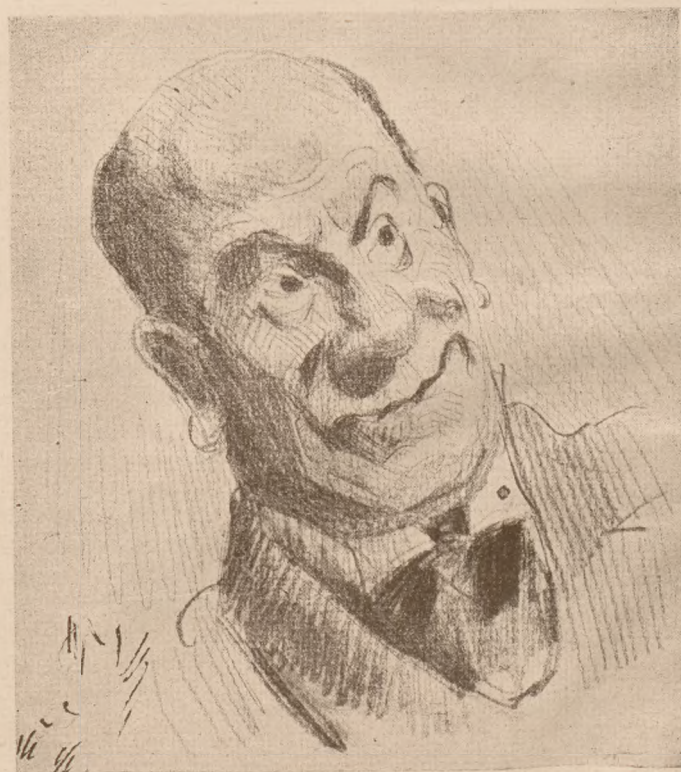
niezliczone karykatury, szkice przygodne, na listach, zaproszeniach, nawet na rachunkach... z pralni, a oprócz nich, wielkie portrety ojca, lub wspólne ich obu. Tych portretów istnieje, jeśli się nie mylę, około dziewięciu!!!

Apoteozą twórczości malarskiej Lenca, był wielki portret ojca w wymiarach naturalnych p. t. „Artysta przy biurku”⁵⁾, szczególnie przez Lenca ukochany i wyróżniany, gdyż przyniósł artyście wielki złoty medal Wystawy Paryskiej z 1900 roku. Pozowanie do tego portretu trwało z górą pół roku. Lenc, który zwykle malował szybko, i jak gdyby nieomylnie, tu zamęczał ojca i pieścił się szczególnymi nieskończeniem długo.

Kiedy po ukończeniu wystawy, portret zawisł w salonie rodziców, Lenc, który bywał i tak częstym gościem na herbatach, zebraniach imieninowych, kolacjach — jako swój i bliski, potroił swe wizyty.

W najcudaczniejszej porze dnia, w której nikt gości się nie spodziewa, np. około dziesiątej rano, ktoś walił mocno kulakiem w drzwi wejściowe (Lenc nigdy nie dzwonił). Ojca o tej porze zwykle już nie było. Matka była gdzieś w głębi

⁵⁾ Własność matki mej Stanisławy z Pyszników Frenkowej.



Mieczysław Frenkiel (rys. St. Lenc)

mieszkania zajęta swą toaletą lub sprawami gospodarskimi. Ja — w szkole. Zaaferowana sprzątniem „młodsza“ otwierała drzwi. Wchodził wolnym krokiem Lenc, robiąc straszne miny do wystraszonej służącej i tak jak stał, w kapeluszu, w palcie, w kaloszach i z ociekającym parasolem (jeśli deszcz padał) wlaźł do salonu, brał pierwsze lepsze krzesło, siadał okrakiem i zastygał w niemej kontemplacji przed portretem. Próżne były bezładne pytania zakłopotanej młodszej... — „Jak



„Micio ma syna!“ (rys. St. Lenc)

godność“... „Czy pan do pana starszego“... „Właśnie pani nie ubrana więc nie wiem“...

Lenc odpowiadał jakimś straszliwym chrząknięciem, wyjmował z bocznej kieszeni palta podręczne pudełko z farbami, gwizdząc podchodził do portretu i przekreściwszy głowę, poprawiał jakiś szczegół. Wtedy, służąca szybko biegła do matki i zdyszana meldowała:

— Tam w salonie jakiś warjat chodzi w kapeluszu i z pędzlem, pokazuje język i całą podłogę kaloszami zapaskudził...

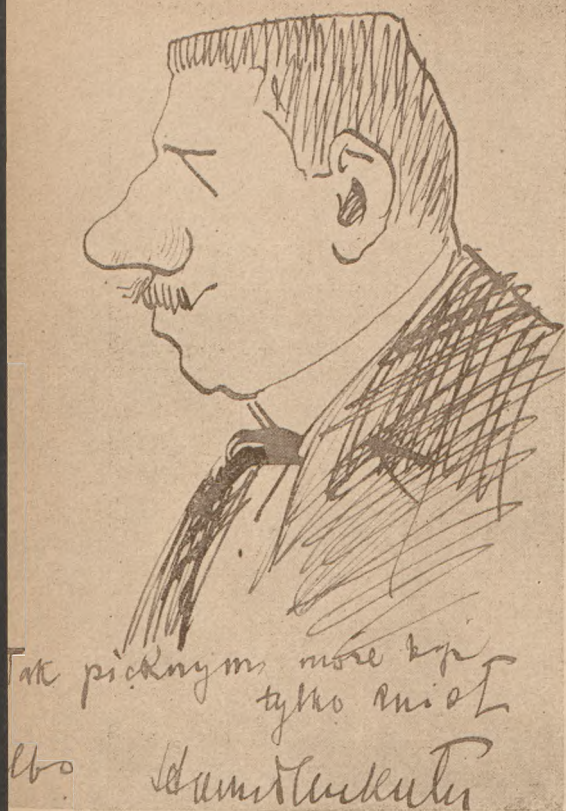
Matka, wiedząc o co chodzi, biegła do salonu w szlafroku. Lenc skończył właśnie poprawianie owego drobiazgu i starannie układał pędzle w pudełku.



Mieczysław Frenkiel (rys. St. Lenc)



„Niestrawność Micio“ (rys. St. Lenc)



Autokarykatura St. Lenca

— Panie Stachu! Zwarjował pan? Niech pan zdejmie palto, dlaczego w kaloszach! Ach Boże, co ja mam z tym człowiekiem! Znowu sprzątania na pół godziny, zdejmie pan te kaloszyśka, czy nie?

— Nie myj nóg rano Stasiuśko, bo słyszę, że masz głos zawołany i uściskaj obu panów Fe! — odpowiadał słodko straszliwy gość i trząsał drzwiami, przy akompaniamencie złorzeczeń matki i cichych przekleństw „młodszej“...

Korespondencja obu przyjaciół, bez względu na to, w jakiej sprawie pisywali do siebie, zawierała w sobie taką barwną mozaikę satanicznych inwektywów i nieprawdopodobnych ad hoc stwarzanych dziwolągów, że nieraz zadawałem sobie pytanie, skąd te dwa niesforne, a za mej pamięci siwe już „chłopaki“, czerpały do nich pomysły i natchnienie. To też niesłychanie ostrożnie musiałem wybierać kwiataki z ich łąki korespondencyjnej, aby nie obrazić niczyjego oka, ni ucha. Oto próbki ich zwarjowanego stylu:

Warszawa. Klozet ogólny domu Ungra. Chwile ranne.

„Kochany Panie Fe!

Z jutrzejszego pozowania nici, bo jestem proszony na obiad do Goldsztanda i nawet u Małego nie

będę rano. Wieczorem zajdę za kulisy — to pogadamy. Spotkałem na ulicy Czertkowa⁶⁾. Wyprzystojniał. Kazałem Mu Pana pocałować w.... Zgodził się chętnie. Żegnam. Pan Le“.

Karlsbad 15.V.1913.

„Panie Fe!

Serdecznie dziękuję za dobre słowo. Zrozumiałeś w końcu mą elefan, że inteligent jest. Nespa? Radź co robić z Paryżem? Przecież i ty czasem myślisz. Il fo deside. Il fo! Całuję, pana Pan Le“.

Depesza ojca z Londynu:

„Nie jedź durniu do Hagi. Nie ma po co: Rubens umierający...“

Odpowiedź ojca ze Scheveningen:

„Mą szer. Beze nu tu de. Mosie Le“.

W roku 1896, w czasie pobytu cara Mikołaja II w Warszawie, Lenc poczęstował ojca liścikiem, za który, gdyby go przypadkiem znaleziono, można było przejechać się odrazu do kryminału:

Łazienki. Sypialnia carska g. 2 w nocy.

„Car jest przybity Twoją nieobecnością. Cierpi na bezsenność. Kołyszę go. Jutro będziesz mianowany feldjegrem i baronem. Moc pracy. Żegnam. Twój Le“.

Niestety odpowiedzi ojca żadną miarą przytoczyć nie mogę...

Niezliczoną ilość razy, podróżowali wspólnie do Anglii, Francji, Belgii i Niemiec. W starych notesach ojca, który był niesłychanym pedantem i porządnikiem, i skrupulatnie zapisywał wszystko, co mu było w drodze niezbędne, znalazłem i taki szczegół: Nożyk podróżny do ołówek dla Stacha... Tak pamiętał przyjaciel o przyjacielu.

Kiedy po latach, jako student już bywałem „za niemców“ w prześlicznym apartamencie pp. Lenców, w domu Gebethnera i Wolffa, zawsze, nawet w momencie najliczniejszego zebrania, widziałem ich obu chodzących po wielkim salonie, pod rękę, rozprawiających z zapalem, jak gdyby spotkali się po latach kilkunastu, a nie w południe np. w redakcji „Tygodnika Ilustrowanego“.

Pewnego upalnego dnia około godziny czwartej po południu siedzieliśmy przy obiedzie, w stołowym pokoju naszego mieszkania: ojciec, matka, ciotka i ja. Raptem, w przedpokoju zadzwonił telefon.

Matka, która oczekiwała właśnie jakiejś rozmowy, wstała i poszła do przedpokoju. Wróciła po chwili bardzo błada. Usta jej drgały lekko.

— Co się stało? — zapytał ojciec widząc jej dziwne wzburzenie...

— Nic... bo, widzisz... bo ty zaraz byś...

— Stacha! Co się stało?

— Lenc! Niedawno... u siebie... na serce... był przytomny... ale —

— Umarł?

— Tak. Przed godziną!...

I tu padło z ust ojca spokojne, jakby lekko zdziwione:

— Co ty mówisz? Nie może być!...

Delikatnie odłożył nóż i widelec, wstał od stołu i wolno nie spiesząc się przeszedł przez stołowy, wszedł do sypialni i stanął tyłem do nas, twarzą do okna, zapatrzony w kościół Karmelitów. W małych kwadratowych szybach wielkiego okna, wspartego ciężko o kościelne odrzwia, słońce które właśnie zachodziło, pozapalało setki żółtopurpurowych płomyków.

Wszedłem za ojcem pocichu do sypialni. Zbliżyłem się do okna i biorąc go lekko za zwieszoną rękę, spojrzałem mu w twarz. I zobaczyłem rzecz niesłychaną, niepojętą, u tego tak opanowanego, równego człowieka, rzecz którą widziałem po raz pierwszy przed laty, w Krakowie, w czasie odsłonięcia pomnika Jagiełły. Łzy ojca!...

Ojciec płakał. Łzy wielkie, perliste, płynęły mu wolno po twarzy kamiennej, nieruchomej. Czoło oparł o szybę i szeptał:

— Mój Stach... poszedł... mój Stach, mój Stach!...

Na trzeci dzień był pogrzeb Stanisława Lenca. Kiedy trumnę kryjącą prochy wielkiego malarza, opuszczali do grobu, ojciec klęczał, wsparty na swojej ulubionej łasce. Był bardzo spokojny i nie płakał wcale. Tylko głowa, chwilami, niedostrzegalnie wprost trzęsła się i kolebała.

I wtedy, przeszła mnie jakaś dziwna, nagła, przykra myśl. Zrozumiałem nagle, że mój ojciec jest zmęczony, spracowany, i że teraz trzeba go kochać jeszcze więcej, z całej siły na jaką stać ludzkie serce, bo ta trzęsąca się głowa powiedziała właśnie mojemu sercu, że ojciec jest już... stary.

⁶⁾ Ówczesny generał - gubernator warszawski.

Wszystkie ilustracje pochodzą ze zbiorów Tadeusza Frenkla.

KOMU TY JEDZIESZ?

(groteska)

Okoliczni chłopci zwą tę puszcę Lasem Czterech Pór Roku. Rozciągnęła się daleko, zamasyście. Środkiem, na przestrzał, biegnie szeroka droga bita.

Na którą gdy hrabicz wjeżdżał, pożegnały go dzwony kościelne pobliskich wiosek; hrabia Gogo, nie-naganny, zdjął kapelusz i zmówił krótką modlitwę. Do wnętrza kapelusza wpadło kilka dojrzałych liści dębowych. Jakie ładne, pomyślał. Niby złotnicze wyroby z brązu, z platynowymi żyłkami. — Kochał się w pięknych rzeczach, dorodnych zwierzętach, urodziwych ludziach; o przedmiotach pożytecznych, o ludziach dobrych mało dotąd myślał.

Czterotaktowe grzmoty: to rumak hrabiego, siny z czarnościami, wybija kopytami choreojamby ta-ta-ta-ta. Za koniem, w trzech doskonale symetrycznych i stylowych parach, pędzi sześć jamników; lewe psy wywiesiły języki na lewo, prawe na prawo — i szorują niziutko przy ziemi.

Hrabia Gogo pocierał bolącą lekko głowę. Zaczął padać — śnieg? Ale Gogo powiedział: Ja wiem, że to nie śnieg. Mam trzeźwy umysł i rozumiem, że to męska stałość, kwiat mleczu. I zdmuchnął sobie z rękawa jeden taki płat. Wierzchowiec obrócił łeb i głęboko zajrzał panu w oczy.

— Ou allons - nous, mon cher comte? — zapytał.

A że się to zdarzyło po raz pierwszy, hrabia zdumiał się wielce. O, jak to źle, jak bardzo źle! — pomyślał. Widocznie więc papo miał jednak słusność. Za dużo grzeszyłem, za ciężko. I oto teraz — majaki —

Ale głęboko zakorzenione dobre wychowanie wzięło górę nad bólem.

— Vous dites, mon pauvre ami?...

Koń powtórzył:

— Pytałem, où est-ce que nous allons. Mówię po francusku, pour que les bassets ne comprennent pas.

— Que sais-je, que sais-je!... zadumał się hrabia boleśnie. Łza wypłynęła mu spod powieki, upa-

dła na liść, zaślniła szmaragdem. Nie zdziwił się. Rzekł: Ciało bezbarwne na ciele barwnem przybiera barwę ciała barwnego. Jak dobrze powtórzyłem te łatwe do zmylenia wyrazy! Może nie jest tak źle — pocieszał się.

Grzmia kopyta. Na głębokim granacie nieba biała wypukła inkrustacja. Łabędź. Hrabia Gogo wziął swój łuk w kształcie liry, oparł złotą strzałę o dźwięczną cięciwę. Zafurczał grot i utkwiał w białej piersi. Trysnęła purpura, szeroką plamą legła wśród błękitności leśnych dzwonek. Ptak zaśpiewał:

— Czemuś mię zabił, rycerzu Ralfie de Laura? Mam srebrne gniazdo na gwieździe alfie Centaura. W moim srebrnym gnieździe na srebrnej gwieździe jest jaje; gdy je wysiedzę, nowa mgławica powstaje...

Runął śnieżny ptak do stóp czarnego wierzchowca i umarł. Hrabia powiedział: Łabędzie zawsze śpiewają przed śmiercią, więc to nie dziwne. Może jeszcze wszystko dobrze będzie... Łabędzie... będzie —

Nachylił się z siodła, dłonią zaczerpnął łabędziej krwi z pomiedzy dzwonek, podniósł do ust. Jak słodkie i pachnące były te poziołki. Szkoda — pomyślał — że puch łabędzi tylko barwą przypomina śmietankę.

Grzmia kopyta. Na serdecznym palcu hrabiego krwawi rubin. Już nie chce krwi, mówi Gogo. Zdjął pierścień, rzucił za siebie. Rubin uleciał w powietrze. — Ja wiem, że to przecie była biedronka — uśmiechnął się; — nie zwiódła mnie.

Szybki, szybki bieg. Głośno wołają świerszcze. Złoci się słońce, jamniki ciężko dyszą. Trzeba wypocząć.

Hrabia leży na wznak, potylicę wsparł na splecionych dłoniach. Nad jego głową dziewięć jaskrawych jaszczurek ułożyło się w hrabiowską koronę. Pieski drobno robią bokami. Rumak zieleni sobie ślinę sokiem trawy. Pachną grzyby. Gogo zadrzemał, zbudził

się po godzinie. Późno się robi, a wszakże trzeba dokądś dojechać.

Znowu bieg. W oddali skrzydła drogi zbiegają się klinem. Stokrotki błyszczą po bokach jak gwiazdy. Słońce coraz niżej. Zniknęło. Na jego miejscu — nikłowy krąg księżyca. Jamniki podniosły głowy, zapłakały lunatycznym i przejmującym skowytom.

Z haszczy wyłonili się Ricardo i Sancho Panza na mlecznych koniach. Ustawili się po dwu stronach hrabiego, pędzą w milczeniu. Zdziwił się hrabia: skąd oni tu?

— Wszakże towarzyszyli nam od domu — powiada koń. — Czyżbyś ich hrabia nie zauważył?

— Tak, ale...

Nagle się droga urwała nad szafirowym morzem. Rumak nie przystanął, śmiało mknął dalej, a kopyta nie grzęzły mu w tym szafirze. Gogo rozeźmiał się ze zrozumieniem: Przecież to morze tylko w przenośni, a naprawdę — ogromna ława fiołków...

Minęli morze fiołkowe, pędzą dalej. Na przydrożnej polance, — nieruchome stadko saren. Jakie cudownie piękne, myśli smutny hrabia.

Daleko zamajaczyły kontury zamczyska. Na ich wieżyczkach, jak na masztach i rejach okrętu, topi się białość księżyca. Droga cała wybrukowana płytami księżycowego srebra. Przyśpieszone kopyta dudnią metalicznie. Milczą giermkowie, milczy bolesny hrabicz.

Stanęli nad głęboką fosą. Z wierzchołków dębów runęły, usiadły na ramionach Ricarda i Sancho Panzy dwa wielkie puhacze. Zatrąbiły głośno.

Opadł zwodzony mostek. Na powitanie wychodzi kasztelan w białych szatach. Ricardo mówi:

— Panie doktorze, hrabia był bardzo grzeczny, wcaleśmy z nim nie mieli kłopotu.

Kasztelan uprzejmym ruchem zaprasza hrabiego. Gogo zawahał się tylko chwilę, odepchnięty wstecz od mostku upiornym strachem. Ale kasztelan prosił tak gościnnie, że grzeczny hrabia wjechał na mostek.

— Możemy odjechać? — zapytali giermkowie.

A hrabia wchodził w mury zamczyska, gdzie się rozlegał nieharmonijny śmiech wielu mieszkańców. Zawsze będzie tam tęsknił.

PÓŁWIECZE DZIAŁALNOŚCI SCENICZNEJ JÓZEFA ŚLIWICKIEGO



Józef Śliwicki w r. 1898

Jubileusz pięćdziesięciolecia pracy artystycznej Józefa Śliwickiego, uroczyste obchodzony w Warszawie, stał się hołdem serdecznym złożonym artyście, który zawsze sztandar sztuki niósł wysoko i odznaczał się wyjątkowym umiłowaniem prawdziwej wielkiej poezji. To też tłumy publiczności wypełniły Teatr Narodowy, gdzie wystawiono „Mazepę” Słowackiego z Jubilatem w roli króla. Najświetniejsze nazwiska polskiego świata aktorskiego widniały na afiszu, nawet w najmniejszych rolkach: kto nie miał roli — statystował. Tak wyrazili swe uczucia dla



Józef Śliwicki w r. 1938

Zakończeniem uroczystości jubileuszowych była wizyta, którą Jubilat w gronie kolegów pracy złożył w Schronisku dla



Weteranów Sceny w Skolimowie, któremu poświęca od szeregu lat wiele myśli i wysiłków. Na zdjęciu fragment z bankietu



Józef Śliwicki w roli Romeu w „Romeo i Julii” Szekspira przed 40-tu laty

Śliwickiego koledzy - artyści. Równie wymowna była manifestacja publiczności, która długotrwałymi, gorącymi oklaskami dziękowała Śliwickiemu za wszystkie piękne i pełne polotu postaci sceniczne, jakie stworzył w ciągu swej wieloletniej działalności dla sceny. Długo szereg oficjalnych przemówień zamienił się w jedną wielką owację dla znakomitego artysty. Rano tegoż dnia odsłonięto jego popiersie w Teatrze Narodowym. Liczne upominki i odznaczenia towarzyszyły tym uroczystościom, dowodząc raz jeszcze, że kraj cały ocenił należycie ofiarną półwiekową pracę Śliwickiego-aktora i Śliwickiego-reżysera, który w samej Warszawie grał 644 role, wyreżyserował 146 sztuk, a występował na scenie 7183 razy. Zasłużony i piękny jubileusz...



Józef Śliwicki w roli Króla w „Mazepie” Słowackiego w dniu swego jubileuszu

W MROKU ¹⁰⁾

POWIEŚĆ

Ałaryn wszedł do pokoju starając się być spokojnym i pewnym siebie, ale doświadczony wzrok lichwiarza zauważył bladość jego twarzy, nerwowy ruch dolnej szczęki i biegające trwożliwie na wszystkie strony oczy. Mądry żyd zrozumiał odrazu, że ten zawsze bez troski, wesół chłopiec ma jakiś straszny kłopot...

Usiedli za stołem i przez parę minut nie odrywali od siebie oczu.

Goldberg był w swojej specjalności doskonałym psychologiem i doprowadził do mistrzostwa sztukę niewidocznego lecz gnębiącego sposobu wpływania na człowieka, który był w potrzebie. Nie zaczynał nigdy pierwszy drażliwej rozmowy o pieniądzach, śledził tylko, jak jego klient kurczy się, miesza, z trudnością wiąże słowa i na koniec zgadza się na wszystkie warunki, żeby tylko zakończyć tę ciężką i kłopotliwą sytuację.

— Widzi pan, Samuelu Izakowiczu — zaczął nieśmiało Ałaryn nie wytrzymawszy ostatecznie przenikliwego wzroku lichwiarza — potrzeba mi... widzi pan... czy może mi pan pożyczyć niewielką sumę?

Po tonie, jakim było powiedziane „niewielką” lichwiarz domyślił się odrazu, że Ałarynowi potrzebna jest ogromna suma ale w twarzy jego nie drgnął żaden mięsień.

— Dlaczegożby nie? — odpowiedział przymilnie, mogąc panu dać, ile pan sobie życzy. Pan jest bardzo akuraty i nigdy się pan nie targuje. Daj Boże, aby z każdym tak załatwiać interesy, jak z panem. Ileż pan potrzebuje?

I patrząc pytająco na Ałaryna otwierał już biurko, przygotowując się jakby do wyjęcia weksła. Uczucie tchórzostwa ogarnęło Ałaryna. Zdawało mu się niewiadomo dlaczego, że niemożliwe jest wymienić odrazu tak wielką sumę jak jedenaście tysięcy rubli.

— Potrzeba mi... potrzeba... dziewięć tysięcy — skłamał zrozumiawszy jednocześnie, jak głupią miał myśl zwrócenia się do Goldberga.

— Hm... dziewięć tysięcy rubli? — rzekł przeciągając żyd, który nie oczekiwał jednak czegoś podob-



FR. PULS S.A.

nego. Takich pieniędzy nigdy w ręku nie miałem! — dodał zatraskując szybko biurko i zamykając je na klucz. — Nie — to niemożliwe — niech pan poszuka gdzie indziej.

Po tej kategorycznej odmowie Ałarynowi zrobiło się odrazu lżej i poczuł się pewniejszym siebie.

— Niech pan słucha, Goldberg, pan musi mi to dać... musi pan... Inaczej... djabeł wie, co będzie... Podpiszę panu plenipotentję na całą moją pensję. Lekki uśmiech zjawił się na ustach żyda.

— Ale poco panu tyle tysięcy?

Ałaryn zmieszał się. Naprawdę starał się skłamać, wymyślić pierwszą lepszą historję, ale jakby namyślnie ani jedna prawdopodobna myśl nie przychodziła mu do głowy.

SPÓŁKA PAŃ

WARSZAWA-MARSZAŁKOWSKA 123-TEL. 2-42-12

PALTA — SUKNIE — DROBIAZGI DLA PAŃ
NADZWYCZAJNE OKAZJE
GWIAZDKOWE

Wyborowe Pączki ^{tyl-ko u} Gajewskiego

Kawiarnia — Chmielna 49
Cukiernia — Marszałkowska 59

— Ah, do czorta — krzyknął brutalnie — czyż nie wszystko jedno, djabło! Dawaj, albo nie dawaj, ale nie waż się rozpytywać...

— Phe! Pan inżynier ma mnie za skończonego durnia! Mówię, niech pan szuka gdzieindziej, tam, gdzie pieniądze leżą na ziemi...

Nerwy Alaryna nie wytrzymały. Krew ze straszną siłą uderzyła mu do głowy.

„A jeśli schwycę go za gardło — przemknęło mu jak błyskawica przez głowę — żywa dusza nie usłyszy!“

I nagle z zamglonymi oczami, nie czując nic poza straszliwą wściekłością, rzucił się na Goldberga i w jednej chwili chwycił go za gardło swymi giętkimi palcami.

— Niech pan poczeka — zachrypiał blade żyd, niech pan mnie puści, panie inżynierze! Dam panu pieniądze... zaraz dam!

Alaryn zdjął ręce, przechodząc z nadzwyczajną szybkością od nieprzytomnej rozpacz do jeszcze większej nieprzytomnej radości.

— No daj, kochany daj! Przynieś prędko... Ah Boże, dlaczegoś mnie tak męczył? — mówił bezsensownie, zaledwie oddychając.

Goldberg podszedł do drzwi, prowadzących do drugiego pokoju i schował się tak, że widać było tylko głowę.

— Pan oszalał — zakrzyczał piskliwym głosem — czyż jestem głupcem, żeby wyrzucać pieniądze? Czyż ja nie wiem, że pan się wczoraj zgrał? A jeżeli będzie pan się darł jak pijak, zawołam policję. Wynos się pan precz z mojego domu!

Alaryn rzucił się ku niemu i kiedy schwycił za kłamkę, usłyszał, że w zamku przekrecono klucz.

IX.

Chwiejąc się i zaledwie trzymając na nogach wyszedł Alaryn na ulicę. Było prawie zupełnie ciemno. Zimny wiatr dał mu prosto w twarz, a on nie różniąc drogi szedł nieprzytomnie w rozpiętym palcie i krzywo włożonej czapce, z pod której wysuwały się pasma mokrych włosów. Wargi jego szeptały słowa bez związku, a spotkani przechodnie zatrzymywali się mimowoli, przeprowadzając go wzrokiem.

Alaryn doszedł do bulwaru i wtedy dopiero poczuł straszne fizyczne wyczerpanie. Iść dalej nie było dokąd, a zresztą — poco? Wszędzie ta sama zimna pusta przestrzeń...

Usiadł na wpół zasypanej śniegiem ławce i zamarł. Fantastyczne bez sensu myśli napływały mu bezładnie do mózgu. „Jakże ziębną nogi!... I spać się chce. Nie poszedłbym stąd nigdzie, zostałbym tu na zawsze... Mówią, że przyjemnie jest zmarznąć. Ach, gdybym tak i ja!... Siedziałbym tak, siedział, potem zasnąłbym i nic, zupełnie nic jużbym nie czuł... A jutro podejdzie do mnie policjant. Z początku będzie się tylko przyglądał z boku, potem dotknie mi ramienia i... odskoczy. Ciekawe, czy „oni“ mnie pożałują, kiedy się dowiedzą!“

Alaryn nie zdawał sobie sprawy, kto to są ci „oni“, którzy dowiedzą się o jego śmierci, ale w wyobraźni jego powstał jasny obraz. Leży oto w trumnie i nie w cerkwi i nie u siebie w domu, ale w sali Zarządu, gdzie zwykle zbierała się komisja. Jego piękna twarz jest blada i uroczyście spokojna... wokół tłum. Na wszystkich twarzach żal, każdy jak gdyby chce powiedzieć: „Nie rozumieliśmy jego cierpienia, nie chcieliśmy podać mu pomocnej ręki... a teraz już późno, teraz nic mu już nie potrzeba“. „Nie, poco umierać? — myślał dalej. — Lepiej wydobyć pieniądze... to przecież takie proste... może znajdzie na ulicy, inni znajdują przecież“.

Zdawało mu się, że wchodzi do jasno oświetlonej sali, czując na piersi grubą paczkę... Za długim stołem, nakrytym zielonym suknem siedzą członkowie zarządu... Wszystkie twarze zwracają się ku niemu ze złym uśmiechem... wszyscy czekają napewno, że padnie on na kolana i szlochając będzie błagał o przebaczenie i będzie się usprawiedliwiał. Nieuchwytny cień pogardy błyska w jego oczach, ale wargi nie wydają ani jednego dźwięku. Krzyżuje ręce na piersi i milcząc słucha oskarżenia! Kiedy zaś jeden z obecnych, ośmielony jego spokojem decyduje się rzucić wśród ogólnego śmiechu, nieczemną obelżywą uwagę, Alaryn nie wytrzymuje dłużej: wielkimi krokami podchodzi do stołu, oczy jego błyszczą wściekłością... Niedokończony śmiech cichnie natychmiast, wszystkim robi się nieprzyjemnie... Niezręczny dowcipinś chowa się nieśmiało za plecy swych kolegów... Alaryn odpowiada na obelgę piorunującymi słowami, rzuca na stół paczkę pieniędzy i dumnie odmawia uczestnictwa w tak marnem towarzystwie. Wrażenie ogromne. Wszyscy, którzy są na sali rzucają się do niego, ściskają ręce, przepraszają, proszą, żeby ich nie porzucał, zapewniają o przyjaźni... W oczach wielu widać szczere łzy... a on, chociaż jest wzruszony ogólnym współczuciem, wybiega z pokoju. (D. c. n.)

Siłę i zdrowie daje



FF Foshatyna
FALIERA



SAME RYSY
tworzą

nie decydują o urodzie. Skóra zdrowa i świeża, cera delikatna, młodzieńcza, powabna oto warunki pięknej całości. Obok pielęgnacji skóry, o świeżości i aksamitnej delikatności cery stanowi naturalny, idealnie miękki, nie zatykający porów, sporządzony z cebulek lilii białej

hudu **ABARID**

GIUSEPPE VERDI

(w 125-tą rocznicę urodzenia)

Nie był rewolucjonistą, nowatorem i reformatorem, jak jego wielki rówieśnik Ryszard Wagner. Przeciwnie, wielkość i powstanie Verdiego tkwi w ocaleniu tradycji opery włoskiej. W skostniałą, opustoszałą formę tchnął nowe życie, nową prawdę artystyczną. Dzięki geniuszowi Verdiego mogła się opera włoska ostać wobec wszechpotężnej hegemonji dramatu muzycznego Wagnera.

Ten czyn narodowy Verdiego, pływający, oczywiście raczej z instynktu artystycznego, niż ze świadomej woli, odpowiada jego gorącemu patriotyzmowi, który muzyk ten niezliczone razy manifestował. Verdi brał czynny udział w polityce i walkach o zjednoczenie Włoch. Walczył o wolność wraz z Cavourem i Garibaldim, był nawet posłem pierwszego parlamentu włoskiego. Bojownikiem wolnościowym jest Verdi przede wszystkim w swoich pierwszych operach. Jest w nich tyle tendencji politycznych, że kompozytor miał ciągle trudności z cenzurą austriacką. Jego opery „Nabucco“, „Lombardi“, „Ernani“, których bohaterowie reprezentowali walkę narodu o wolność, porywały widownię przede wszystkim nastrojem patriotycznym; pewne słowa, padające ze sceny, publiczność podchwytowała z burzliwym entuzjazmem. („Weź sobie cały świat, lecz nam pozostaną Włochy“); chóry tych oper, pełne bohaterskiego patosu, śpiewano powszechnie niby hymny narodowe. Gorące umiłowanie kraju, przywiązanie do swego kawałka ziemi (Verdi pozostał do końca życia „wieśniakiem z Le Roncole“) stanowi zawsze istotny rys Verdiego. Niechętnie rozstawał się ze swoją ojczyzną. Gdy sława jego — w późniejszych latach — wybiega daleko poza granice Włoch, a sceny stołeczne świata sprowadzają go do Paryża, Londynu, Moskwy, wraca jednak zawsze po krótkim pobycie do kraju. Odmówił też, gdy mu w r. 1847 proponowano objęcie na 3 lata kierownictwa „Her Majesty's Theater“ w Londynie.

Ciężkie i pełne niedostatku było dzieciństwo małego Józefa Verdiego w Le Roncole (w Parmii). Lecz wcześniej odkryto jego talent. W zamożnym kupcu Barezzim znalazł genialny chłopak protektora, który umożliwił mu uczęszczanie do gimnazjum w Busseto i poważną naukę muzyki. Barezzi był sam świetnym muzykiem i w jego domu znalazł Verdi środowisko nawskroś muzyczne. W tym domu też nawiązuje młodzieniec kontakt uczuciowy z córką Barezziego, Małgorzatą, którą w kilka lat później po-

ślubił. W r. 1832 udał się Verdi do Mediolanu, gdzie daremnie stara się o przyjęcie do Konserwatorium; wobec tego zostaje prywatnym uczniem kapelmistrza La Scali, Lavignii.

Talent Verdiego pchnął go od pierwszej chwili w kierunku opery. Już w najwcześniejszych swych operach, wzorowanych jeszcze na Rossinim i Bellinim, przebija siła melodji, wielka witalność rytmiczna i pogłębienie ekspresji muzycznej. Coraz świadomiej kroczy Verdi swoją własną drogą, która go niebawem prowadzi do jego arcydzieł: Rigoletto, Traviata, Trubadur, Bal maskowy, Aida. Dla nas jest dziś Verdi autorem właśnie tych oper, które stanowią stałą część repertuaru wszystkich teatrów operowych. Zapomniano o licznych dziełach tego kompozytora, odznaczających się również wielkim bogactwem muzycznym, a które uciierały, tylko z powodu wielce nieudolnych, zbyt zawiłych tekstów (np. Simone Boccanegra, Johanna d'Arc, Stiffelio). Sam wybór tekstów u Verdiego wyróżnia się mocno na tle monotonnych, oklepanych tematów dawnych oper włoskich. Święty („Stoffelio“), czarownica („Trubadur“), błazen (Rigoletto), to bohaterowie operowi, odbiegający daleko od szablonu. Muzycznie leży ogromny postęp i wartość oper Verdiego przede wszystkim we wspaniałych scenach ensemblovych, uwzględniających zarówno momenty psychologiczne, charakterystykę uczuć osób śpiewających równocześnie, jak i fakturę muzyczną tego śpiewu zespołowego. (Słynnym pod tym względem jest kwartet z „Rigoletta“).

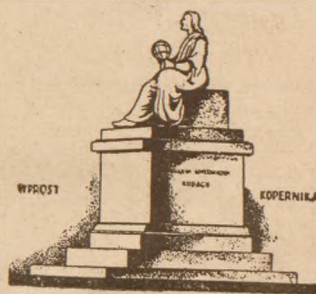
Verdi jest twórczy do sędziwej starości. Starość jego, pogodna, szczęśliwa, pełna aktywności artystycznej, jest mu niejako rekompensatą za smutną młodość, pełną tragicznych ciosów (młody, dwudziestokilkuletni Verdi stracił w przeciągu 2 miesięcy żonę i dwoje dzieci). Poślubiwszy w późnym wieku swoją długoletnią towarzyszkę życia, słynną śpiewaczkę Giuseppinę Strepponi, żyje z nią spokojnie w swojej posiadłości ziemskiej w St. Agata, zajmując się czynnie gospodarstwem rolnym. Tu też praktycznie ujawnia się silnie rozwinięty zmysł społeczny Verdiego, gdyż wprowadza on tu najnowsze urządzenia społeczne. Z tych samych pobudek powstaje też jego piękny czyn założenia przytułku dla starych bezdomnych muzyków. Żyje więc Verdi szczęśliwie w St. Agata, rzeźki i pracowity, otoczony gronem serdecznych przyjaciół. Tu two-

rzy teraz najpiękniejsze swoje dzieło „Otello“ i jedyną swoją operę komiczną „Falstafa“.

Pomimo tryumfального pochodu oper Verdiego przez wszystkie sceny świata, spotykał się ten wielki muzyk z krzywdzącymi zarzutami swoich współczesnych. Zwolennicy Wagnera dopatrywali się w jego sztuce taniego, trywialnego efekciarstwa, jego ziomkowie zaś zarzucali mu zdradę belkanta włoskiego i poddanie się wpływom niemieckiego dramatu muzycznego. Ostatnie twierdzenie, bardzo zresztą rozpowszechnione jest oparte głównie na jego wspaniałej reprezentacyjnej „Aidzie“ (skomponowanej na zamówienie egipskiego kediwa na uroczystości otwarcia Kanału Suezkiego). Verdi wprowadza tu mianowicie technikę deklamacyjną na miejsce efektów wokalnych, przez co bezsprzecznie zbliża się do dramatu muzycznego. W stylu dramatu muzycznego utrzymany jest też „Otello“.

Dopiero przed kilkunastu laty rozpoczął się „renesans Verdiego“. Dystans historyczny zarówno do Verdiego, jak i do Wagnera, którego witalna, pełna hałaśliwego patosu indywidualność przez długi czas przytłaczała i usuwała w cień skromnego kompozytora włoskiego (wiadomo, że obaj genialni twórcy urodzili się w tym samym roku 1813) — dystans historyczny więc uwypuklił w całej pełni geniusz i doniosłą rolę historyczną tego wielkiego muzyka.

Irena Huessowa.



**CUKIERNIE
B. ŻMIJEWSKI**

W WARSZAWIE

Krak.-Przedmieście, tel. 6.39-39

Nowy-Świat 1, tel. 9.53-93

Czerniakowska 196, tel. 9.80-28

POLECA PIERNIKI, BAKALJE
OZDOBY NA CHOINKĘ, ORAZ
STRUCLE MAŚLANE I PRZE-
KŁADANE TORTY I SĘKACZE

IZABELA LUTOSŁAWSKA. — Państwo Bobrowscy. Wyd. St. Dippel. Poznań 1938.

dawnicza Stefana Dippla w Poznaniu wydała już szereg książek o dużej wartości artystycznej. Ostatnio wyszedł z druku ostatni tom trylogii I. Lutosławskiej, „Państwo Bobrowscy“.

Państwo Bobrowscy kończą cykl dziejów Zazy. W napięciu hamowanego wzruszenia śledzimy w tej powieści losy ludzkie przedstawione w sposób realny, choć wyrażają trudną do pojęcia tajemnicę zła i miłości.

Zło ma nieskończone kręgi kolejne, nieustannie grozi katastrofą człowiekowi, który zaznał upadku. Zaza przechodzi wciąż przez tragiczne — choć na pozór przypadkowe — kręgi losu wywołanego własną wolą we wczesnej młodości.

Czy to będzie okrutnie działająca opinia ludzka, czy mściwość dawnego kochanka, czy własna potrzeba nieokłamywania Zbigniewa Bobrowskiego — Zazie nie są oszczędzone żadne skutki własnych czynów. Jak nie bywają nigdy oszczędzone w życiu.

Ale tajemnicą tych kręgów losu jest, to że trwają one tylko dopóty, dopóki nie zetkną się z prawdziwą miłością.

O tem, że taka właśnie miłość — pomimo wszystko — łączy państwa Bobrowskich, opowiada ostatni tom głośnej trylogii.

Inż. JULIAN GINSBERT. Czy Bałtyk jest morzem zamkniętym. Wydawnictwo Oddziału Propagandy Floty Wojennej L. M. K. Warszawa 1938 r.

Po raz pierwszy w piśmiennictwie polskim pojawiła się praca traktująca zagadnienie morskie pod kątem widzenia możliwości otwarcia bram Bałtyku.

Autor — opierając się na ścisłych i nieznanych szerszemu ogółowi w Polsce — dokumentach historycznych, broni tezy, że Bałtyk jest morzem zamkniętym tylko dla tego państwa, które na niem nie posiada odpowiedniej marynarki wojennej. Państwo silne na morzu potrafi zawsze otworzyć sobie wyjście na wolne wody świata, jak to miało miejsce choćby z Włochami w konflikcie abisyńskim.

Operując danymi historycznymi i strategicznymi, autor nadaje im jednak barwną formę opowiadania literackiego, co sprawia, że książkę czyta się, jak powieść. Liczne rysunki, mapy i ilustracje uzupełniają interesującą całość, mogącą mieć duży wpływ na kształtowanie myśli morskiej wśród społeczeństwa.



Książki nadesłane

Wydawnictwa Księgarni Powstającej w Krakowie. R. 1938.

RAFAŁ SCHERMANN — Piśmo nie kłamie.

IRENA SZCZEPAŃSKA — Córka kapitana okrętu.

STANISŁAWA NOWAKÓWNA — Michałko

FELIKS SALTEN — 15 zajęcy. Przeł. M. Tarnowski.

MARJA KĘDZIORZYNA — Antek Gruda.

FELIKS SALTEN — Opowieść leśna. Przeł. M. Tarnowski.

M. LISIEWICZ — Trop nad jeziorem.

JAN LORENTOWICZ — Józef Śliwicki. Wyd. ks. F. Hoesick. Warszawa 1938.



Z ŻAŁOBNEJ KARTY

W dniu 29 listopada 1938 r. rozstała się z życiem s. p. Janina z Pruszkowskich Włoczevska, żona sędziego Sądu Najwyższego. Urodziła się w Warszawie, gdzie spędziła znaczną część życia. Z domu rodziców, ludzi wysokiej kultury i charakteru, wyniosła zasady, które przyświecały jej przez całe życie tak na stanowisku żony i matki, jak i obywatelki. Obdarzona dużą inteligencją, a jednocześnie skromna i całkowicie pozbawiona egoizmu, dawała dużo z siebie rodzinie i otoczeniu. Wrodzona subtelność i dobroć jednaly Jej serca wszystkich, którzy ją bliżej poznali. Bez rozgłosu niosła potrzebuje pomoc moralną i materialną. Śmierć Jej pogłężyła w głębokim smutku męża i córki i pozostawiła żal w sercach bliżej znających Ją osób. Spoczęła dn. 2.XII. r. b. na cmentarzu Powązkowskim.

Cześć Jej pamięci.

WŁADYSŁAW BARANOWSKI — Rozmowy z Piłsudskim. Wyd. Biblioteka Polska. Warszawa 1938.

NIEPODLEGŁOŚĆ — czasopismo. Red. T. Szpotański. Zeszyt listopad — grudzień.

JAN ROGOWSKI — W obronie Lwowa. Wyd. Księg. A. Krawczyński. Lwów 1938.

TADEUSZ FRENKIEL — Mieczysław Frenkiel. Wyd. Fr. Hoesick. Warszawa 1938.

CZESŁAW LATAWIEC — Cyprjan Kamil Norwid i jego czasy. Wyd. St. Dippel. Poznań 1938.

ALICJA MONTROUGE — Przeznaczenie. Wyd. St. Dippel. Poznań 1938.

Odżywka mineralna

MINEROGEN F. F.

uzupełnia wszystkie braki składników mineralnych w ustroju i strzeże go przed zaburzeniami przemiany materii

Stosuje się dla zapobiegania:

- 1) cierpieniom nerek i pęcherza,
- 2) zaburzeniom trawiennym żołądka i jelit,
- 3) chorobom wątroby i woreczka żółciowego,
- 4) skłonności do otyłości,
- 5) demineralizacji ustroju,
- 6) skutkom przepracowania.

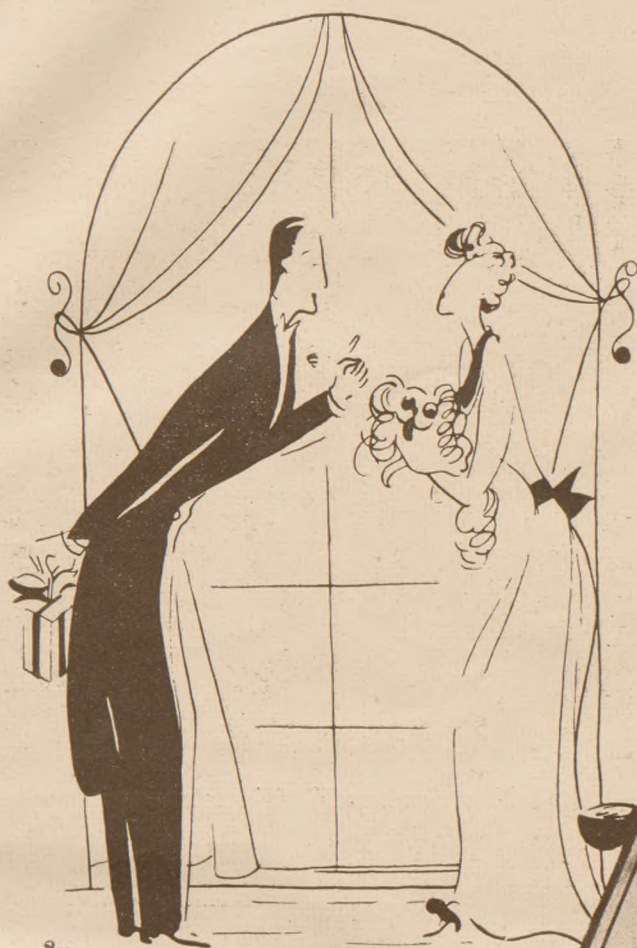
MINEROGEN

jest odżywczy i smaczny

APTEKA MAZOWIECKA

Warszawa, Mazowiecka 10

Soir de Paris



am.

Woda toaletowa
Perfumy
Krem i puder
Pomadka do warg



BOURJOIS

Świetne kreacje aktorskie w nieświeatnych sztukach

TEATR NOWY: „ZŁOTY DESZCZ“

A black and white photograph of a family of five seated around a dining table. The table is covered with a white lace tablecloth and has several bottles and glasses on it. A man in a suit is seated on the left, looking towards the center. A woman in a patterned dress is seated next to him, looking down at the table. In the center, a man in a light-colored shirt is looking towards the right. To his right, a woman in a dark dress is looking down at the table. On the far right, a young man in a suit is seated, looking towards the center. A large potted plant is visible in the background, and a staircase is visible on the right side of the image. The floor is covered with a patterned rug.

16

DZIEJE TEATRU W POLSCE

W porze letniej znów Bogusławski jeździł do Kalisza, gdzie znaczne zebrał pieniądze, tymczasem Döbbelin antreprenier niemieckiego teatru w Poznaniu, powziął zamiar sprowadzenia kompanji do Warszawy, przysłał przeto niektórym osobom u steru rządu stojącym, projekt do utrzymania stałego, ciągłego niemieckiego teatru w stolicy, gdyby pozyskał na nią specjalny wyłączny ekskluzyjny przywilej; przez który udzielone czasowo pozwolenie Bogusławskiemu zniszczyć, a polskie widowiska pod jego władzę poddać mogły. Bogusławski uwiadomiony o grożącym niebezpieczeństwie chwycił się fortelu: postanowił sam utworzyć niemiecką kompanję i stanąć na jej czele; spieszenie też podał w tym celu prośbę do ministerjum w Berlinie, które też natychmiast poleciło Kamierze Królewskiej, by mu stosowną koncesję na lat trzy wydała. Döbbelin miał już przywilej w ręku, przybył zapóźno, a Bogusławski i oba lokale na teatry wcześniej dla siebie zakontraktował, nawet już kilka osób z jego niemieckiej kompanji znajdowało się w Warszawie. Widząc się przeto Döbbelin w przykrem nader położeniu, wymógł wstawieniem się różnych osób na Bogusławskim, iż mu pozwolił dawać widowiska na Teatrze Radziwiłłowskim przez wrzesień i październik. Towarzystwo Niemieckie Bogusławskiego otworzyło widowiska swoje dnia 3 listopada przedstawieniem wielkiej opery: „Zwierciadło Arkadyjskie“. Teatr polski do końca tego roku lubo bez wielkich korzyści, jednak się utrzymywał, poniósł tylko niepowetowaną stratę przez wczesną śmierć artysty Pawłowicza.

Rok 1805. — Zaczął się rozpuszczeniem zupełnem Baletu pana Le Doux, Teatr Niemiecki Bogusławskiego coraz większe straty ponosił, pomimo, że skład osób daleko był lepszy, niż towarzystwa Döbbelina, który tylko sam z żoną swoją byli znakomitymi ar-

tystami. — W towarzystwie zaś Bogusławskiego znajdowało się wiele prawdziwych talentów, pomiędzy innymi szczególnie sławny Wurm, będący później ozdobą Berlińskiej sceny.

Z początkiem czerwca odbyła się coroczna pielgrzymka warszawskiego teatru do Poznania i Kalisza — Kompanja Niemiecka dla niepomyślnego stanu swoich interesów, wysłaną została na wrzesień i październik do Poznania, gdzie Döbbelin mający wyłączny przywilej przez wdzięczność za gościnę warszawską odstąpił dla kompanji niemieckiej Bogusławskiego nowo wybudowany teatr.

W tym czasie znów przybyło do Warszawy małe towarzystwo francuskie pod dyrekcją pana Foures, lecz ich wizyta nie miała wpływu na bieg widowisk polskich. Powrót na scenę dawnej panny Truskolawskiej, teraz już zamężnej Ledóchowskiej, w dniu 24 września w komedji „Pigmaljon czyli obraz kobiet“ ocucił nieco pogrążony w śnie letargicznym Teatr Warszawski.

Rok 1806. — Teatr Niemiecki z początkiem maja dla ciągłych strat został rozpuszczony — I Francuski nie lepszego doznawszy powodzenia odjechał do Kopenhagi. Z powodu zaburzeń wojennych artyści tego roku nie jeździli, ani do Poznania, ani Kalisza.

Przedstawienie Melodram: „Nurzachad“, „Śąd Salomona“, oprócz okazałej wystawy, muzyki, ozdobionych wspaniałym baletem, który pan Szlancowski z pozostałych uczniów pana Le Doux zebrał, przyniosły niejakiś dochód kasie; lecz pan Foures nagle powrócił z towarzystwem Francuskim z Kopenhagi i otworzył widowiska w Teatrze Radziwiłłowskim, a tak wszelkie spodziewane korzyści odjął scenie Polskiej, gdyż napływ wojsk francuskich naówczas tłoczył się naturalnie na rodowite swoje widowiska.

Rok ten nader niepomyślny dla Teatru Warszawskiego zakończył się stratą najstarszego i najzasłu-



Gruźlica płuc

jest nieubłagalna i corocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar. — Przy zwalczaniu chorób płucnych: bronchitu, grypy, uporczywego męczącego kaszlu i t. p., stosują pp. Lekarze „Balsam Trikolan-Age“, który ułatwia wydzielanie się płwociny, usuwa kaszel, wzmacnia organizm i powiększa wagę ciała. Do nabycia w Aptekach.



Oto daj sprzymierzenicy
mojej urody!



jeden pielęgnuje
naskórek, drugi
upiększa
cerę.

CRÈME SIMON
CRÈME SIMON
M.A.T.
PUDER SIMON
MYDŁO SIMON



Fortunat Alojzy Żółkowski,
o którym kilkakrotnie wspomina autor
w „Dziejach”.

żeńskiego artysty Świerzawskiego, który umarł dnia 30 listopada. W tym roku z nowych sztuk grane były: „Sierota Chiński”, Woltera, przez Radowickiego wierszem tłumaczony; „Hrabina Salisbury”, oryginalny dramat przez Rajmunda Rembielińskiego napisany. Opery: „Wieża w Neüstadt”, „Tajemnica”, „Intryga w oknach”, „Opera komiczna”.

1807. — Napływ wojsk nie polepszył wcale teatralnych zasobów i cała zima przeszła na ciągłych stratach. Na lato udał się Bogusławski do Poznania lecz tameczny Teatr znalazł obrońcy na magazyn zboża, otrzymał jednak zezwolenie generała Friand wypróżnienia teatru i oczyszczenia go własnym kosztem, co skuteczniejszy, odjechał po towarzystwo.

Wtem Fouries zjawił się niespodziewanie w Poznaniu, Bogusławski powraca z całą warszawską kompanją i z wielkim swoim zadziwieniem zastaje francuzów grywających w wyprzedzonym przez siebie teatrze, na którym zaledwie po usilnych i długich staraniach, wystawiać co drugi dzień polskie widowiska pozwolono. — Unikając zupełnej zguby, wsparty łaskawą opieką tamtejszych możniejszych domów, wystawił na prędko teatrzyk w Hotelu Saskim i grywał na nim w dni przez francuzów zajęte.

Publiczność nader życzliwie dla teatru polskiego usposobiona, a zwłaszcza damy, nie zważając na szczupłość miejsca, i licznie się gromadząc chlubnie swe przywiązanie do krajowych widowisk w oczach cudzoziemców zmanifestowała. Poniesione straty w tym roku, pomnożone zostały śmiercią pierwszej śpiewaczki, Zofji Petrasch, już jako zamężnej Dmuszewskiej, której zgon, cały ogół publiczności uwielbiającej ją, żalem napełnił, a istnienie opery polskiej na długi czas wstrzymał. Z nowych sztuk w tym roku znaczniejsze były: melodramat „Karol Wielki” i „Witykind” i tragedia wierszem „Wanda”, obie przez hrabinę Łubieńską oryginalnie napisane; „Władysław pod Warną”, tragedia Juljana Niemcewicza; tudzież opera „Rotmistrz Górecki” przez Pękalskiego napisana. Widowiska te zaszczycał często bytnością swoją Fryderyk August, król Saski, ówczesny Książę Warszawski.

1808. — Z rozpoczęciem tego roku stan teatru był polepszony, jednakowoż z nastaniem pory letniej okazały się długi już 80.000 zł. dochodzące. Bogusławski unikając zupełnej swej zagłady, chciał złożyć Antreprzyż w ręce aktorów którym nabycie od niego potrzebnej garderoby i biblioteki spłaceniem częściowym z łatwością byłoby przyszło, zrzekli się jednak tego, bo byli podburzeni przez takich z pomiędzy siebie, co sami dążąc do osiągnięcia zarządu, pragnęli tylko do swej kieszeni garnąć wszelkie korzyści.

D. c. n.

Ulgowe kupony „Świata” do Teatrów Niezależnych

Teatr Malickiej

pod dyr. Z. Sawana
Karowa 18. Tel. 5-29-99

KUPON „ŚWIATA”

ważny od 9. XII do 15. XII
upoważniający do nabycia 2-ch biletów
ulgowych

z 40% zniżką

ważny codziennie o 8-cj (również w soboty i święta) a w niedzielę nadto o 4-cj ppł. w kasie teatru cały dzień bez przerwy od 11-cj rano do 8-cj w.

Teatr „8-15” Śniadeckich 5

Tel. 7-00-26

KUPON „ŚWIATA”

ważny od 9. XII do 15. XII
upoważniający do nabycia 2-ch biletów
ulgowych

z 40% zniżką

(prócz sobót i świąt) w kasie teatru
od 11 — 2 i od 5-cj ppł.
do 8-cj w. na wszystkie miejsca

PROSZKI
Kogutek
ZASTOSOWANIE:
GRYPA, PRZEZIĘBIENIE
BOLE GŁOWY, ZĘBÓW i t.p.
Znajdźcie oryginalnych proszków ze zn. tobr. „KOGUTEK”
GASECKIEGO
tylko w opakowaniach higienicznych w **TOREBKACH**

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Nowy Świat 26. Telefon 5-04-00. Konto P. K. O. Nr. 3755.

Lista rozrachunkowa urzędu pocztowego Nr. 39.

Administracja otwarta codziennie z wyjątkiem świąt, niedziel od godziny 11 do 3 pp.

Redakcja we czwartki, piątki i soboty od godziny 10 — 13 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz.

11 — 1 pp. tylko po uprzednim porozumieniu się z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. Rękopisów Redakcja nie zwraca.

WARUNKI PRENUMERATY: Odb. na miejscu miesięcznie zł. 5.— Kw. zł. 13.50 gr., z odnosz. do domu mies. zł. 5.50 gr.

kw. zł. 15.— Zamiejscowa mies. zł. 6.—, kw. zł. 16.20 gr. Zagraniczna mies. zł. 8.—, kw. zł. 21.60 gr.

Każdy prenumerator otrzymuje co miesiąc cenne premium książkowe wartości księgarskiej 5 do 6 zł.

ŚWIAT FILMU

WIELKI SUKCES FILMÓW
REŻ. WASZYŃSKIEGO.

Reżyser Waszyński odniósł zdecydowany tryumf dwoma ostatnimi swymi filmami: „Drugą młodością” i „Ostatnią Brygadą”.

„Drugą młodość” kilkakrotnie już recenzowaliśmy na tem miejscu — a zawsze dodatnio.

Obecnie wypada poświęcić parę słów drugiemu filmowi reż. Waszyńskiego „Ostatnia Brygada”, czyli „Prawo do szczęścia”. W filmie tym po dłuższej przerwie, wziął udział najświetniejszy amant filmu dźwiękowego Zbyszko Sawan. Stworzył on kreację silną w rysunku, konsekwentnie przeprowadzoną od pierwszej do ostatniej sceny.



Przemila scena z doskonałego filmu „Zapomniana melodia”, zrealizowanego przez wytwórnię „Omnia”



Pichelski i Gella w scenie z nowego filmu „Biały Murzyn”, realizowanego przez L. Buczkowskiego dla wytwórni „Polonia-Film”

Gra swoją przyćmił partnerki. I to partnerki tej miary, co: Gorczyńska, Barszczewska i Wysocka Lidja. Dobry nabytek dla filmu stanowi p. Relewicz-Ziemińska. Sieniański zabawny.



do nabycia we wszystkich Handelach Wini i Restauracjach

Dbajcie o swoje zdrowie!

Przy chorobach: ŻOŁĄDKA, KISZEK, WĄTROBY, przy KAMIENIACH ŻÓŁCIOWYCH, WZDĘCIU BRZUCHA, ODBIJANIU SIĘ, LUB SKŁONNOŚCIACH DO ZAPARCIA, stosuje się: „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA” Gąseckiego, naturalny, łagodny środek przeczyszczający, ułatwiający funkcje organów trawienia, stosowane również przy nadmierze otyłości.

WYTWÓRNY PUDER GELOBIL KREM ODŻYWCZY



Nowość!!!

NIWIDOCZNY NA SKÓRZE
puder kołoidalny
SIX-SIX Cherys

DAJE CERZE WIECZNĄ MŁODOŚĆ

przy
hemoroidach

(KROWANE ŚWIETLIKOWE)

VARICOŁ
GĄSECKIEGO

DO NABYCIA W KADŁACH

ŚWIAT FILMU

FILM NIESPODZIANEK AKTORSKICH

„Za winy niepopelnione“ Bałuckiego na ekranie.

Moda na filmowanie poczytnych powieści trwa nadal w produkcji polskiej. Po wyczerpaniu arsenału Mniszkówny dobrze się stało, że wytwórnie sięgają po rzeczy bardziej poważne i nazwiska bardziej zasłużone.

Oto jak się dowiadujemy wytwórnia „Rex-film“ po nakręceniu szeregu komedii przystąpiła obecnie do realizacji dramatu p. t. „Za winy niepopelnione“ wg poczytnej powieści Michała Bałuckiego. Trudno o wybór bardziej celowy i słuszny. Bałucki jest bodaj „najfilmowszym“ z autorów polskich, a szczególnie ta właśnie jego powieść wyróżnia się mocnym i wyrazistym węzłem akcji, zwartą intrygą dramatyczną, tempem i bogactwem sytuacji, ujmujących frapujący temat w jakby specjalnie dla filmu pomyślaną konstrukcję.

Filmowi swemu daje „Rex-film“ niebanalną oprawę aktorską i realizatorską. W rolach głównych aż 4 debiuty ekranowe: Wanda Bartówna, piękna i młoda aktorka teatru Kameralnego, oraz trójka wytrawnych aktorów scenicznych, którzy po raz pierwszy stają przed obiektywem filmowym: Helena Rolandowa, Ewa Bonacka, Wojciech Brydziński. A obok nich „specjaliści“ kina: Kazimierz Junosza - Stępowski, Eugenjusz Bodo, Jerzy Pichelski, Andrzej Bogucki, Karol Dorwski i inni.

Na pozycji reżyserskiej — również niespodzianka: Eugenjusz Bodo, który „współreżyseruje i współautoruje“ od szeregu lat w filmach polskich (ostatnio reżyserował „Królowę Przedmieścia“) — a teraz otrzymuje bogate pole dla zaspokojenia swej ambicji twórczej i okazania swego talentu realizatorskiego w całej rozciągłości.

Zdjęć dokonywa wytrawny „cameraman“ polski — Inż. Zbigniew Gniazdowski.

Film „Za winy niepopelnione“ zapowiada się więc bardzo interesująco — zarówno ze względu na wartościowy temat jak i nieszablonoową obsadę aktorską i realizatorską.

Scena z filmu „Wielki dzień“, wyt. R.K.O. Radio



FABRYKA PERFUM I KOSMETYKÓW PERFUMERJA „CHERYS“

Warszawa, Żelazna 54.

Nieliczni dotychczas kosmetolodzy wtajemniczeni w sposób wytwarzania i znający składniki nowego rodzaju pudru koloidalnego Six - Six wyrażają się entuzjastycznie o jego właściwościach i są pełni uznania dla laboratorium fabryki, w której długoletnie próby wydały tak piękny rezultat.

Wynalezienie bowiem pudru koloidalnego Six-Six rozwiązało, dręczące krytycznych fachowców, wątpliwości dotyczące całkowitej nieszkodliwości i i bezwzględnej celowości tego środka kosmetycznego.

Okazało się, że można uchronić porę przed „zamurowaniem“, które grozi zmniejszeniem żywotności skóry, a systematycznie stosowane sprowadza przedwczesną starość. Z drugiej strony — względy już kosmetyczne! — spotęgowano subtelność, wzmocono „pryczepność“, i zapobieżono mogącym powstać zmarszczkom.

Zalety te osiągnięto dzięki długo-trwałej i żmudnej pracy rozdrobnienia cząstek pudru. Po otrzymaniu małych drobin kosmetykolog uniezależnił się wreszcie od nieobojętnych dla skóry składników.

Puder koloidalny Six-Six jest niemal niewidoczny przy najsilniejszym nawet oświetleniu. Łatwo też na noc zmyć go można zwykłą wodą, bez specjalnych zmywaczy.

Kierownictwo fabryki „Cherys“ dobrze przysłużyło się technice kosmetycznej, dlatego też pudrowi koloidalnemu Six-Six wróżyć należy żywot trwałą, powodzenie zaś duże i zasłużone.

Przeciwnik BÓLU GŁOWY
DLA DOROSŁYCH I DLA DZIECI
KOWALSKINA
stosuje się również
PRZY PRZEZIEBIENIU GRYPIE I KATARZE



WEŁNY • JEDWABIE
KONOPKA i REDULSKI

MARSZAŃKOWSKA 130
MATERJAŁY
NA UBIORY MĘSKIE

„OLLA-CRISTALLIN“ to rewelacja!